Jacek Getner

LIRA WYDAWNICTWO

Komedia kryminalna z Jackiem Przypadkiem w roli głównej

ZNAMIENNE STANY ŚWIADOMOŚCI

Przypadek chodzi po ludziach...

ZNAMIENNE STANY ŚWIADOMOŚCI

Jacek Getner

ZNAMIENNE STANY ŚWIADOMOŚCI

LIRA
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.
Warszawa 2021
Wydanie pierwsze
ISBN: 978-83-66966-32-1

Rozdział I
Kapelusz pana Jacka

Nieboszczyk wyglądał na naprawdę zadowolonego ze swoich życiowych perspektyw. Uśmiechnięty leżał spokojnie w trumnie z lekko uniesioną głową i zza zamkniętych powiek oglądał wszystkich zgromadzonych na swojej stypie. A było na kogo popatrzeć. Przy suto zastawionych stołach, pomiędzy na wpół opróżnionymi butelkami, siedzieli nasi ulubieńcy. Ci, których twarze znamy wszyscy z ekranów telewizorów, bo goszczą na nich nieprzerwanie od wielu lat. I ci, którzy dopiero pojawili się w naszych domach, ale już ujęli nas swoim talentem, urodą i nieprzeciętną inteligencją. Ci, którzy dostali się w to miejsce dzięki ciężkim studiom i pracy, oraz tacy, którzy znaleźli się tu dzięki temu, że stali się znani z tego, że są znani.

Wszyscy oni, gwiazdy serialu *Miłość i medycyna*, przybyli tu, aby pożegnać nieboszczyka, który dość niespodziewanie dla nich postanowił opuścić ich grono. Niektórzy trochę mu tego odejścia zazdrościli, bo i oni sami chętnie by się stąd wyrwali. Ale nie mogli. Nie pozwalały im na to kredyty na apartamenty, nowe domy, drogie auta. A przede wszystkim strach, że ich twarz z dnia na dzień przestanie cokolwiek mówić ludziom

spotkanym na ulicy, kelnerom w restauracji i producentom chcącym im zaproponować kolejną rolę. Dlatego mimo to pozostawali w świecie, z którego odszedł właśnie zmarły.

Ale dziś wszyscy, nie tylko nieboszczyk, byli uśmiechnięci i radośni. W końcu schodziła z tego ekranowego świata jedna z głównych postaci serialu. To rodziło nadzieję, że zostaną rozbudowane ich własne wątki, dzięki czemu zwiększy im się liczba dni zdjęciowych w miesiącu i raty kredytu nie będą już tak ciężkie do spłacenia! Może nawet będzie ich stać na kolejną pożyczkę? To byłoby cudowne! Przecież miarą sukcesu współczesnego człowieka nie jest to, ile ma oszczędności, ale jak dużą zdolność kredytową posiada.

Dlatego teraz można się było raczyć nieskończenie dużą ilością alkoholu, który pozostał po scenie stypy nagrywanej ledwie dwie godziny temu.

Tę powszechną radość postanowił wyrazić Ryszard Danielewicz, serialowy profesor Barnaba Kłyś, jeden z najbardziej uznanych na świecie kardiochirurgów. Rola ta stanowiła ukoronowanie jego aktorskiej kariery bogatej we wspaniałe kreacje, zachwycające nie tylko krajową, ale i zagraniczną krytykę. Uważano go za artystę wybitnego, który nie przegapi żadnej okazji, żeby pokazać, jak świetnie ma ustawiony głos, jak potrafi wspaniale podciągnąć dramaturgię przemówienia. I udowodnić przy okazji wszystkim, że nie ma na tym świecie żadnej rzeczy, której nie można by skojarzyć z jego geniuszem.

Niezależnie bowiem od tego, o czym czy o kim mówił, zawsze w tej mowie najważniejszy okazywał się on sam.

Teraz, zanim zaczął swe przemówienie, sięgnął po kieliszek wódki, który przed chwilą przyniósł mu kelner. Takie same kieliszki stały przed wszystkimi zgromadzonymi. Danielewicz podniósł swój i gestem nieznoszącym sprzeciwu dał znak, by wypili pozostali. On sam zrobił to jako ostatni, odstawił kieliszek, nabrał powietrza i zaczął:

— Pożegnaliśmy dzisiaj wspaniałego człowieka, lekarza, przyjaciela. — Pierwsze słowa popłynęły niemal półszeptem. Ale był to półszept niezwykle przejmujący, który nie pozwalał na prowadzenie żadnych rozmów, bo wypełniał sobą szczelnie każdy centymetr sześcienny pomieszczenia. Mówca wsparł się przy okazji o stół, po trosze dlatego, żeby podkreślić wagę swoich słów, a po trosze ze względu na ilość wypitego alkoholu. — Wszyscy wiemy, kim był doktor Staś. Najlepszym lekarzem w tym kraju zaraz po mnie! Liczby ludzi, których wyrwał ze szponów śmierci, ratując w absolutnie beznadziejnych wypadkach, nie da się zliczyć! — Oderwał się od stołu i ruszył w kierunku trumny. Zatrzymał się przy niej i chwycił za jej krawędź. — A jego samego, jak na ironię losu, zabił zwykły katar. Ten okrutny katar pozbawił miliony widzów ich ulubieńca! — Z jego oczu zaczęły płynąć łzy, bo wprost trudno mu było sobie wyobrazić cierpienie, jakiego doznają wkrótce telewidzowie. — Znaliśmy go wszyscy i kochaliśmy jak brata! Dlatego tak bardzo będzie go brakować w naszej serialowej rodzinie!

Żegnaj, doktorze Stasiu! I nie martw się na tamtym świecie. Bo ja cię z pewnością godnie zastąpię!

Danielewicz rzucił się na nieboszczyka, przytulając swoją łkającą twarz do piersi doktora Stasia. Szlochał tak przez dobre pół minuty, po czym całkowicie ucichł. Kilka osób pomyślało nawet, że profesor Barnaba zwyczajnie zasnął zmęczony alkoholem. Ale nagle, po dłuższym czasie, Danielewicz wyprostował się, a jego wzrok nabrał wprost niezwykłej trzeźwości, niespotykanej u niego od wielu już lat. Spojrzał na pozostałych przerażonym wzrokiem i wymamrotał:

— On chyba naprawdę nie żyje…

Pani Felicja Przypadek, w odróżnieniu od swojego męża, nie uważała, że ich syn marnuje swoje życie. Od początku widziała w nim duszę artystyczną, a taka nie może zajmować się czymś tak przyziemnym jak zwykła praca. Niezależnie, czy jest to kancelaria adwokacka, czy też jakiś urząd. Dusza artystyczna unosi się ponad szarą rzeczywistością, dodając jej jedynie kolorytu.

Biorąc to pod uwagę, nie mógł dziwić jej zachwyt nad ostatnim wyczynem Jacka.

— Synku, taka jestem z ciebie dumna! — Pani Felicja ucałowała Jacka w głowę, roniąc na nią przy okazji kilka łez. — To było naprawdę cudowne. Ten specjalny koncert dla Marzeny… Ha, wyobrażam sobie, jaką Fryderyk musiał mieć zaskoczoną minę, kiedy zobaczył na trawniku przed kancelarią orkiestrę… Na coś takiego mógł

wpaść tylko ktoś o artystycznej duszy. I to ktoś bardzo zakochany. Myślę, że nie ma już co czekać. Trzeba jak najszybciej zaplanować wasz ślub!

— Ale mamo. Nie tak szybko…

— Jacusiu, naprawdę szkoda czasu. Jesteście narzeczonymi już prawie trzy lata. Dawno powinniście być po ślubie. Tylko proszę cię, nie mów mi, że wciąż myślisz o Basi. Ja wiem, ona była cudowna, właściwie kochałam ją jak córkę, ale zaginęła w tych Himalajach prawie osiem lat temu. Nie ma najmniejszych szans, żeby się odnalazła.

— To nie o Basię chodzi. Ja…

Przypadkowi rzadko brakowało słów. Był powszechnie znany ze swojej elokwencji i tego, że zawsze miał w zanadrzu celną ripostę. Ale jak tu wyznać matce, że jego narzeczona tak naprawdę nigdy nią nie była? A formalnie stała się nią po to, by ojciec Jacka, mecenas Fryderyk Przypadek, załatwił jej upragnione miejsce na aplikacji adwokackiej. Aplikacji, na którą powinna się i tak dostać, ale nie mogła tego zrobić ze względu na różne nieformalne przeszkody.

Nie, tego na pewno nie mógł powiedzieć matce, która wprost ubóstwiała jego udawaną narzeczoną. Na dodatek jako poetka była osobą niezwykle wrażliwą i reagującą na wszystko emocjonalnie. Ale przecież musiał jej jakoś w końcu wytłumaczyć, że między nim a Marzeną nie ma nic. Zażądała tego od niego sama aplikantka, dając ultimatum z trzymiesięcznym okresem wykonalności. Dwa z tych trzech miesięcy już upłynęły.

— No coś tak zaniemówił, synku? — Pani Felicja spojrzała na niego zdziwiona.

— Mamo, mówiłem ci już, że między nami się nie układa.

— Ale ten koncert…

— Marzena to wspaniała kobieta, a ja niechcący sprawiłem jej ogromną przykrość. Chciałem w ten sposób ją przeprosić. To jednak nie zmienia nic w naszych stosunkach. Wybacz, ale muszę ci to powiedzieć, mamo. Od dłuższego czasu dojrzewaliśmy do tego, żeby podjąć ostateczną decyzję o rozstaniu. I chyba nadszedł ten czas.

Pani Felicja uważnie przyjrzała się synowi, żeby sprawdzić, czy on aby z niej nie żartuje. Przecież słynął od dziecka ze skłonności do wszelkich psikusów i kawałów. Kiedyś nawet wmówił swoim kolegom, że trafił na ślad wielkiego skarbu, i przekonał ich, że powinni go poszukać. Zabawa była przednia, tylko nie przewidział, że chłopcy wygadają się starszym. A ci starsi z kolei będą chcieli koniecznie dotrzeć do skarbu przed młodszymi. A może zresztą to przewidział? I sprawiało mu dziką radość wodzenie za nos dorosłych ludzi, którym zachłanność przesłoniła rozsądek i którzy uwierzyli, że mały chłopiec mógł trafić na skarb? Przecież oprócz żartów znany był ze skłonności do irytowania wszystkich.

Ale nie, czegoś takiego nie mógł zrobić swojej matce. Pani Felicja wiedziała, że za bardzo ją kochał, aby wymyślić to wszystko li tylko po to, żeby sobie z niej zażartować.

— Czyli mówisz, że… to już koniec między wami?

— Myślę, że tak, mamo.

— I nie ma już żadnej nadziei? — Pani Felicja spojrzała na syna niemal błagalnie.

— Może i jest. — Jackowi trudno było odebrać matce choć najmniejszy cień nadziei. Ale wiedział też, że nie wolno mu dawać jej zbyt dużo. — Nie liczyłbym jednak na to. Dobrze sprawę przemyśleliśmy i rozstajemy się w przyjaźni. Zresztą myślę, że wciąż będziemy się czasem spotykać.

Zadzwoniła komórka Jacka. Przypadek zerknął na wyświetlacz, ale nie kojarzył zupełnie tego numeru. Przeprosił wzrokiem smutną matkę i odebrał.

— Jacek Przypadek, słucham… Tak, to ja, a o co chodzi? — Jacek spokojnie wysłuchiwał, co ma mu do powiedzenia jego rozmówca. — Tak, myślę, że mogę się tego podjąć… Musielibyśmy tylko porozmawiać o szczegółach. Dobrze, przybiegnę do pana, proszę podać adres, zapamiętam. — Przypadek pokiwał głową, wbijając sobie w pamięć, gdzie i kiedy się umówił, a potem rozłączył się. — No proszę, proszę…

— Coś się stało, synku?

— Dzwonił nowy klient.

— Kto tym razem?

— Pan Kokoszka, producent filmowy. Jest podejrzany o morderstwo.

Redaktor Malwina Żarska, dziennikarka „Nowego Życia", wchodząc na salę ćwiczeń jednego z najmodniejszych fitness clubów stolicy, wprost nie mogła się doczekać, kiedy zobaczy tam swoją redakcyjną koleżankę, Anię Sobanię. Z najlepiej poinformowanych źródeł wiedziała, że starania przyjaciółki o względy pana Przypadka wciąż spełzały na niczym. A takie porażki kończyły się zwykle masakrowaniem sprzętu treningowego, który to widok Malwinie sprawiał szczególną radość.

Dlatego, kiedy Żarska zobaczyła Anię chodzącą spokojnie na stepperze, uznała, że musiało się stać coś naprawdę niezwykłego. Czyżby ten Błażej Sakowicz, uważający się za Młodego Boga Seksu, był rzeczywiście tak niewiarygodnym kochankiem, że potrafił pozbawić Anię wszelkich frustracji? Ta myśl ją nieco zaniepokoiła. A ponieważ była jej przyjaciółką, nie mogła pozwolić na to, żeby pani redaktor Sobania się nie denerwowała.

— Ty wiesz, że wszyscy cały czas mówią o tym koncercie? — zapytała ją od niechcenia.

— Widać nie mają lepszych tematów.

— A właśnie, nie zapytałam. Jak ci się podobał?

— Byłam na lepszych.

— A ja uważam, że był niezły. No, może akustyka nie rewelacyjna, ale trudno wymagać zbyt wiele od plenerowej imprezy. Chociaż gdybyśmy siedziały w pierwszym rzędzie...

— Trzeba było dać znać panu Przypadkowi, to może by cię zaprosił. Przecież podobno tak dobrze go znasz.

— A ty nie chciałabyś siedzieć w pierwszym rzędzie?

— Nic a nic. Mnie nie interesują takie romantyczne pokazy. Zresztą, dziwię się, że ciebie interesują.

— Koncert jest już słynny, a jeszcze nikt o nim nie napisał. Pomyślałam, że muszę nadrobić ten brak. Dlatego zbieram opinie widzów. I chętnie wysłucham twojej.

— Powiedzmy, że nie poleciłabym go dobrym znajomym. Chociaż zakładam, że ty marzyłabyś o zasiadaniu w pierwszym rzędzie. — Ania zerknęła na Malwinę kpiąco.

— O co ci chodzi? — Redaktor Żarska spojrzała na koleżankę lekko zdenerwowana. W odróżnieniu od niej była osobą spokojną, opanowaną i wyprowadzenie jej z równowagi było nie lada sztuką. Ale wyglądało na to, że Sobania jest na najlepszej drodze do dokonania tego.

— Błażej mi powiedział, że kiedyś, zanim się jeszcze poznałyśmy, uganiałaś się za panem Przypadkiem. To prawda?

Twarz Malwiny stężała. Cholera, nie przewidziała, że ten przyjaciel Jacka, ten cały zwariowany Sakowicz, może coś chlapnąć Ani o ich przeszłości. Żarska nie traktowała początkowo poważnie związku koleżanki z tym lekko stukniętym mecenasem. Zresztą, sama zainteresowana deklarowała, że spotyka się z nim tylko po to, by wzbudzić zazdrość Przypadka. Ale mimo fiaska tego planu, wciąż spędzała z nim dużo czasu. Zastanawiająco dużo czasu.

A pomyśleć, że jeszcze przed chwilą, kiedy Malwina wchodziła na salę fitness clubu, wydawało się jej, że to ona jest górą w tej subtelnej grze, jaką ze sobą od dawna prowadziły. Nie minęły trzy miesiące od momentu, kiedy założyła się z koleżanką, że ta nie da rady usidlić na stałe Przypadka. Redaktor Sobania podjęła to wyzwanie i początkowo wydawało jej się, że osiągnęła sukces. Spędziła z Jackiem uroczą noc i była pewna, że wkrótce nie będzie się mogła wprost od niego opędzić. Ale po tym jednorazowym sukcesie nastąpiło długie pasmo klęsk.

Malwina była więc już niemal pewna, że to nie Przypadek w Ani, ale Ania zakochała się w Przypadku. I po raz pierwszy wygra z koleżanką tego typu zakład, którego stawką było jak zwykle opłacenie trzymiesięcznego karnetu za zajęcia w fitness clubie.

— To jak to z tym uganianiem było? — powtórzyła manifestacyjnie swoje pytanie Ania.

— Nie uganiałam się — odpowiedziała Malwina, siląc się maksymalnie, aby jej głos był spokojny. — Po prostu byłam z nim związana…

— Ale chyba niezbyt mocno, bo dość łatwo się wywiązał z tego związku…

— Przypominam, że tobie udało się zaliczyć tylko jedną noc, a ja się z nim spotykałam prawie dwa miesiące.

— Prawie dwa miesiące? — Ania udała, że patrzy na koleżankę z niedowierzaniem. — Co za sukces! To jak z tym swoim nowym „misiem" jesteś już ponad trzy

miesiące, to niedługo szykuje się ślub? A właśnie, dlaczego ja go jeszcze nie poznałam?

— Zbliża się termin płacenia za fitness — uśmiechnęła się chłodno Malwina. — Gdybyś była tak miła i zdecydowała się uznać swoją przegraną, miałabym ten kłopot z głowy.

— Nic z tego. Ja się tak szybko nie poddaję! Jeszcze go dopadnę, zobaczysz.

— Bardzo sprytnie. W ten sposób możesz w nieskończoność odsuwać wizję przegranej, łudząc siebie i mnie, że jeszcze kiedyś ci się uda.

— To nieprawda!

— Czyżby? To może ustalimy, że od dziś masz trzy miesiące. I albo ci się uda, albo uznasz swoją przegraną w zakładzie. Zgoda? — Żarska wyciągnęła dłoń.

Redaktor Sobania popatrzyła wściekła na koleżankę. Jeszcze nigdy nie musiały do ich zakładu wprowadzać tak upokarzającego warunku. Zwykle wszystko trwało tydzień, góra dwa. Ale teraz rzeczywiście ciągnie się to irytująco długo. Dlatego nie ma wyjścia.

— Zgoda! — Sobania uścisnęła dłoń koleżanki. — Mam nowy plan. Tym razem niezawodny.

Przypadek oglądał właśnie plejadę gwiazd serialu *Miłość i medycyna*, których zdjęcia były porozwieszane na ścianach sekretariatu, kiedy odniósł wrażenie, że ktoś powiedział do niego: „Dzień dobry, panie Jacku". Po chwili namysłu uznał jednak, że to niemożliwe i pewnie

się przesłyszał. Przecież nie znał nikogo, kto tu pracował. A poza tym, jeśli ktoś chciał się z nim przywitać, to powinien mówić w sposób umożliwiający usłyszenie czegokolwiek.

— Dzień dobry, panie Jacku. — Tym razem poziom decybeli zawartych w głosie przekroczył granicę słyszalności, choć wciąż można go było określić co najwyżej jako bardzo, bardzo cichy szept.

Przypadek jednak odwrócił się i zobaczył osobnika o przeraźliwie smutnej twarzy. Patrząc na niego wprost, trudno było uwierzyć, że ktoś taki napisał *Trzynaste krzesło*, najśmieszniejszą komedię teatralną ostatnich lat. I dobrze się stało, że Jacek znalazł na to niezbite dowody, bo sąd mógłby nie dać wiary uzdolnionemu komediopisarzowi. Szczególnie, że sam słynny Franciszek Karasiński-Wołkowyjski twierdził, że to on jest autorem owej komedii, a nie nikomu nieznany pan Fredro.

— Dzień dobry, panie Janku. — Przypadek podał rękę Fredrze. — Co pan tu robi?

— Miałem spotkanie z panem Kokoszką, producentem serialu. W sprawie pracy.

— A co, bycie copywriterem już panu nie odpowiada?

— W zasadzie nie mam nic przeciwko. Ale teraz na rynku kryzys i zwalniają. A ja jestem pierwszy do odstrzału.

— Dlaczego? Przecież jest pan świetny!

— No tak. Ale pan Karasiński-Wołkowyjski zna dużo ważnych ludzi, od których zależą zlecenia dla mojej

agencji. I szef mi powiedział, że on mnie wprawdzie ceni i lubi, ale musi myśleć o pozostałych pracownikach. I nie wie, jak długo da radę bronić kogoś, kto oskarżył legendarnego dramaturga o kradzież sztuki…

— Ale przecież udowodniliśmy, że tak było. — Jacek spojrzał zdziwiony na rozmówcę. — Zresztą, nie ma pan się czym martwić. Może pan żyć z tantiem z wystawień *Trzynastego krzesła*.

— Nie za długo. Sztuka ma zejść z afisza w Warszawie, bo podobno środowisko domaga się, żeby takiej komercyjnej rzeczy nie grali na publicznej scenie. A teatry w innych miastach wycofały się z chęci jej wystawienia, skoro to sztuka jakiegoś Fredry, a nie Karasińskiego-Wołkowyjskiego.

— Za to kasowy przebój. Przecież… — Jacek chciał jeszcze entuzjastycznie zrecenzować sztukę, ale pan Fredro machnął zniechęcony ręką.

— Nie mówmy już o tym. Miałem nadzieję, że się chociaż tu zaczepię. Mam tu kolegę, scenarzystę, Szkudlarek się nazywa. Ale pan Kokoszka po przeczytaniu moich tekstów powiedział, że się do niczego nie nadają — westchnął smętnie Fredro. — Pan pewnie tutaj w związku ze śmiercią tego Noskowskiego… znaczy doktora Stasia?

— Owszem. Na razie jeszcze nikogo nie aresztowali, ale chce mnie zatrudnić producent, bo w tej chwili jest głównym podejrzanym.

— Powiem panu, że tu podobno prawie każdy chciał go zabić.

— Przecież „kochała go cała Polska". — Jacek przypomniał sobie jeden z nagłówków tabloidu, który straszył go kilka dni temu we wszystkich mijanych przez niego kioskach.

— Polska może tak, ale koledzy z planu niekoniecznie. Ten kolega scenarzysta mi opowiadał, że Noskowskiemu wiecznie coś się nie podobało. A na dodatek ciągle od wszystkich pożyczał pieniądze i miał problemy z ich oddawaniem.

— Myślałem, że w takiej telenoweli dobrze się zarabia.

— Zarabia się dobrze, ale kolega mówił, że Noskowski był hazardzistą i stąd te długi. Żartują nawet, że sam się zabił, żeby nie musieć oddawać pieniędzy.

— Czyli z listy podejrzanych można skreślić wierzycieli, bo nikt nie zabija dłużnika. — Jacek się uśmiechnął. — Ten kolega panu nie powiedział, kto konkretnie mógłby chcieć śmierci doktora Stasia?

— On sam miał ochotę zabić pana Noskowskiego, bo przez jego fanaberie musiał już parę razy mocno zmieniać scenariusz. Dzięki tej śmierci ma mniej pracy. — Fredro próbował się uśmiechnąć, ale była to jak zwykle próba wysoce nieudana. — Ale tak ogólnie, to tu wszyscy ponoć byli szczęśliwi, że on odchodzi. Może właśnie poza producentem. Oglądalność spada, serialowi grozi zdjęcie z anteny. A tu jeszcze odchodzi najpopularniejsza postać. A teraz, jak się zrobiło to zamieszanie ze śmiercią, to wskaźniki podskoczyły i podobno telewizja podpisała umowę na kolejny sezon.

— A ktoś jeszcze nie był szczęśliwy z powodu jego odejścia?

— Podobno pan Zawiałło, ten, co tu gra ordynatora… Do tego jeszcze Serafińska, ta, która była gosposią doktora Stasia.

— A oni dlaczego?

Pani Hanke delikatnie otarła łzę i wzięła się pod boki. Przyszłość, jaka się przed nią rysowała, była niewesoła. Straciła swojego głównego pracodawcę, u którego sprzątała i gotowała już ponad dziesięć lat. A telefon uparcie milczał i znikąd nie pojawiały się nowe propozycje. Zresztą, czemu się dziwić w jej wieku? Czterdziestka, do której się oficjalnie przyznawała, stuknęła jej już dawno. W jej fachu to przecież emerytura.

— Proszę nie płakać, pani Hanke. — Wysoki, wychudzony i siwy jak gołąbek mężczyzna przytulił korpulentną postać gosposi. — On zostanie na zawsze w naszych sercach.

— Tylko co z tego, jeśli nie ma go tu między nami — westchnęła smutno gosposia.

— Człowiek najdłużej żyje w pamięci innych ludzi. Dlatego on będzie żyć niemal wiecznie — dodał drugi z obecnych mężczyzn, grubasek o mocnych wypiekach na policzkach, patetycznie podkreślający samogłoski kończące wyrazy. — A my po prostu musimy wrócić do swoich obowiązków i dalej nieść pomoc ludziom, pani Hanke.

— Pewnie, wam to łatwo powiedzieć — wybuchła szlochem gosposia. — Macie pracę, a ja?

Jej uwaga skonsternowała obydwu mężczyzn. Tych słów się z pewnością po niej nie spodziewali. Ale nie byli pewni, czy nie powinni się spodziewać. W końcu wersje scenariusza często ulegają zmianom do ostatniej chwili.

— Ależ pani Hanke — próbował „szyć" siwy chudzielec odgrywający rolę ordynatora Steca. — Przecież doktor Staś zapisał pani dom i okrągłą sumkę…

— Tak, w telewizorze to tak ładnie wygląda. Ale sami wiecie, jaka jest prawda. Po jego śmierci moja rola staje się zupełnie nieistotna.

— Ależ pani Hanke, pani jest bardzo cenna… — Grubasek z wypiekami, znany powszechnie jako profesor Barnaba Kłyś, usiłował uspokoić wzburzoną kobietę.

— Pewnie, łatwo ci mówić. Ty po odejściu Noskowskiego będziesz więcej grał w serialu. A Zawiałło — wskazała głową na siwego chudzielca — dostanie za niego tę rolę w tej superprodukcji historycznej…

— Stop! — wrzasnął reżyser Kuliński, który już od dłuższego czasu przyglądał się ze zdziwieniem całej scenie, nie mogąc odnaleźć w scenariuszu tekstów mówionych przez panią Hanke vel Serafińską.

— Baśka, co ty robisz? — Kłyś-Danielewicz spojrzał zdegustowany na koleżankę.

— Dokładnie, co koleżanka robi? — uniósł się ordynator Stec-Zawiałło. Nie przepadał za Hanke-Serafińską

i dlatego, mimo ogólnie przyjętych zwyczajów, nie mówił do niej po imieniu.

— To nieprofesjonalne! Ja tu nie mam czasu, zaraz po zdjęciach jestem umówiony na lekcję języka.

— A mnie teraz na nic nie stać! — zdenerwowała się Hanke-Serafińska. — Oprócz dzisiaj mam jeszcze tylko dwa dni zdjęciowe. I co ja ze sobą zrobię, jak mi nie wypali ta firma szkoleniowa?!

— To chyba jeszcze nie powód, żeby przerywać zdjęcia. — Kuliński próbował łagodzić sytuacj. — Zresztą, może w następnym sezonie scenarzyści wymyślą dla pani jakiś wątek.

— Akurat. Idę w odstawkę!

— To przykre — stwierdził nie bez pewnej satysfakcji Zawiałło — ale mogła koleżanka zacząć grać w totolotka. Podobno ostatnio w kolekturze obok naszego studia padła szóstka.

— Nigdy nie byłam hazardzistką i nie mam zamiaru tego zmieniać!

— Doprawdy? To po co koleżanka ryzykowała, że ją złapią po śmierci Noskowskiego? — Zawiałło spojrzał na nią znakomicie zdziwionym wzrokiem. — Było sens go zabijać, skoro wszyscy wiedzieli, że była koleżanka na niego wściekła?

— Co ty opowiadasz?! Po co miałabym to robić?! Przecież przez to nie wróciłby do serialu, a ja nie odzyskałabym roli!